



Wizja księdza McGivneya

Założyciel Rycerzy rozumiał, że ewangelizacja i przykład miłosierdzia muszą wypływać z parafii oraz oprzeć się na świeckich

Najwyższy Rycerz Carl A. Anderson



OSTATNIO W BAZYLICE Niepokalanego Poczęcia w Waszyngtonie dałem wykład „Ksiądz Michael McGivney i nowa ewangelizacja”. Pozwólcie, że podzielę się kilkoma zaawartymi tam myślami.

Michael Joseph McGivney urodził się w 1852 roku w rodzinie irlandzkich imigrantów w mieście Waterbury, 50 km od Atlantyku, i był pierworodnym z trzynaściora dzieci, z których aż sześcioro umarło w dzieciństwie. Ich ojciec – imieniem Patryk – pracował w hucie mosiądzu i gdy Michael skończył szkołę powszechną, to też został zatrudniony w tej hucie, a miał 13 lat.

Po trzech latach Michael wstąpił do seminarium duchownego, ale długo w nim nie zagościł, bo musiał wrócić do matki i utrzymać rodzinę, gdy zmarł ojciec. Po czterech latach mógł wrócić do seminarium i kolejne cztery lata później został wyświęcony na księdza.

Już po pięciu latach posługi kapłańskiej McGivney był na tyle poważany, że mógł w 1882 roku założyć Rycerzy Kolumba. Jeszcze osiem lat i w 38. wiosnie życia umarł na probostwie u świętego Tomasza w Thomaston w tym samym stanie, w którym się urodził i dotąd posługiwał.

Najczęściej myśli się o księdzu McGivneyu słowami papieża Benedykta XVI z nowojorskiej katedry świętego Patryka, że był to „przykładny amerykański kapłan”, którego zasługą był „krociowy wzrost” liczby wiernych katolickich w USA XIX wieku.

Ale przecież wiele z wyzwania, przed którym stał ksiądz McGivney bardzo

przypomina nam nasze dzisiejsze.

Ówczesny Kościół katolicki cierpiał na niedobór księży, zdziękowanych chorobami i przedwczesną śmiercią. Przez 12 lat posługi kapłańskiej McGivneya aż 70 z 83 księży diecezji Hartford zmarło, w tym dwu młodych proboszczów, u których był wikarym.

Choć z innych powodów, dziś znów trzeba łączyć w USA sąsiadujące parafie, bo nie starcza księży i brak powołań.

Jako młody ksiądz McGivney miał pod opieką dwie parafie i w niedzielny poranek odprawiał trzy Msze w różnych świątyniach. Był porządnie przepracowany tak jak dziś niejeden ksiądz. Po dziewięciu miesiącach pracy w kościele NMP w New Haven żalił się: „Całe lato spędziłem ogarniając parafię w pojedynkę i odkąd opuściłem seminarium nie zaznałem jednego dnia odpoczynku”. Musiały minąć kolejne cztery lata, nim spędził swe pierwsze wakacje.

Zadłużenie parafii było wielkim obciążeniem, tak jak to często się dzieje w USA również dziś. Gdy ksiądz McGivney obejmował parafię NMP w New Haven, była ona zadłużona na równowartość trzydziestu rocznych dochodów proboszcza. Ówczesny New York Times opisywał tę katolicką parafię jako „bólący wrzód”, a także „całkowitą porażkę finansową”. Wiele wysiłku musiał włożyć ksiądz McGivney, by sprostać zadłużeniu i dla jego zmniejszenia oddawał również swoje własne pieniądze z chodzenia po kolędzie.

Podobnie jak dziś w USA, imigranci

stanowili widoczną grupę wiernych. Wtedy byli to imigranci irlandzcy, choć sam McGivney w seminarium uczył się pilnie francuskiego, spodziewając się pracować wśród francuskojęzycznych katolików, wówczas licznych na pograniczu z Kanadą.

Ksiądz McGivney brał do serca wszystkie kłopoty, które spotykały jego wiernych w imigranckim miasteczku, a były to głównie bezdomność, pijactwo, przemoc i rozbite rodziny. Posługiwał w więzieniu i wstawiał się przed sądami za wagabundami Chipem Smithem i Alfredem Downesem, o których pamięć w Connecticut do dziś nie zaginęła.

W swej pierwszej encyklice *Deus caritas est* papież Benedykt napisał, by starać się „widzieć sercem”, by móc umiłować. Na takie miłosierne serce parafianie zawsze mogli trafić udając się do księdza McGivneya i to od niego zaczęło się stworzenie Rycerzy Kolumba.

W 1992 roku papież Jan Paweł II wypowiedział takie słowa, że „parafie muszą stać się ośrodkami miłosierdzia, otwierać się na duchowe i materialne potrzeby szerszej społeczności. Czas jest po temu, żeby wysiłki Kościoła na rzecz nowej ewangelizacji brały swe źródło na parafii, bo jej owocność zależy w dużym stopniu od świeckich”.

Ponad sto lat wcześniej ksiądz McGivney już rozumiał to wyzwanie i tę prawdę. Tak wtedy jak i teraz jego wizja wyznacza nam pole do działania.

Vivat Jesus!